

taki twardy materiał mógł być tak dobrze obrobionym. Jeśli istnieje odpowiedni posąg przypatrzyłbym mu się z wielką chęcią! — Tak myślałem podówczas, lecz później zmieniłem zdanie.

Następne siedem lub osiem lat życia spędziłem cicho i spokojnie. Lato następowało po wiosnie, wiosna po zimie, bez jakichkolwiek zmian w mem zajęciu. Kiedy praktyka wzrosła, zawiązałem spółkę z J. S. Jacksonem, ofiarując mu czwartą część dochodów. Ciągła, wyczerpująca praca odbiła się jednak na mem zdrowiu i czułem się w końcu tak słabym, że żona skłoniła mnie do zwrócenia się o poradę do dra Kavanagha Smitha, z którym kolegowałem w Szpitalu Powszechnym. Pan ten zbadał mnie i orzekł, że mam zagaśnienie lewego szczytu płuc, polecając mi równocześnie stosowną kurację i odbycie większej podróży morskiej.

Własne me usposobienie, które z natury nie zna spoczynku, kazało mi odnieść się życzliwie do ostatniego zlecenia owej porady lekarskiej, a sprawa została ubita przy spotkaniu się z młodym Russelem członkiem firmy White, Russel & White; ten ofiarował mi miejsce na jednym ze statków jego ojca, „Marji Celestynie“, która właśnie opuszczała Boston.

— Jest to maly, zgrabny stateczek — mówił — a kapitan Tibbs to znakomity towarzysz podróży. Nie ma dla chorego jak okręt pod żaglem. — Byłem zupełnie tego samego zdania, to też przyjąłem propozycję natychmiast.

Pierwotnie miała mi towarzyszyć w podróży żona. Czuła się jednak zawsze bardzo źle na morzu a były ponadto i inne względy natury familijnej, przemawiające przeciw narażaniu jej w tym czasie na jakiegokolwiek niewygody, postanowiliśmy zatem ostatecznie, że pozostanie w domu. Nie jestem człowiekiem religijnym lub zbyt uczuciowym, lecz dzięki Ci Boże, za to! Pacjentów swych mogłem bez skrupułów powierzyć współnikowi memu Jacksonowi, którego znałem, jako człowieka godnego zaufania i miłującego pracę.

Przybyłem do Bostonu 12-go października 1873 r. i udałem się natychmiast do biura firmy, aby podziękować za wyświadczoną mi grzeczność. Kiedy siedziałem w kantorze czekając, aż zostanę przedstawiony szefowi słowa: Marja Celestyna zwróciły nagle moją uwagę. Spojrzałem dokoła i spostrzegłem wysokiego, kościstego mężczyznę, który przechylając się nad wypolerowanym, mahoniowym oparciem pytał o coś urzędnika, stojącego po drugiej stronie. Twarz jego była wpół zwrócona do mnie i mogłem stwierdzić, że w żyłach jego płynie domieszka czarnej krwi. Wyglądał na mulata. Jego zakrzywiony, orli nos i rzadkie włosy wskazywały na białego, ale ciemne, niespokojne oczy, zmyślowe usta i lśniącej białości zęby, wszystko świadczyło o jego afrykańskim pochodzeniu. Cera miała chorobliwie, niesamowicie żółtą, a że twarz jego była gęsto pocentkowana bliznami po ospie, robił ogólnie nadzwyczaj niekorzystne wrażenie. Głos jego jednak, gdy mówił, był łagodny i melodyjny a dobór wyrazów świadczył o jego bezsprzecznym wykształceniu.

— Prosiłbym o kilka informacji w sprawie „Marji Celestyny“, — powtórzył pochylając się ku urzędnikowi. — Więc po prostu wypływa z portu, nieprawdaż?

— Tak, sir — odrzekł młody urzędnik stojąc się niezwykle grzecznym na widok ogromnego diamentu, lśniącego przy koszuli nieznanego.

— Gdzie płynie?

— Do Lizbony.

— Załoga?

— Siedmiu ludzi, sir.

— Pasażerowie są?

— Tak, dwóch. Jeden z naszych młodych urzędników i lekarz z Nowego Yorku.

— Nikt z południa? — spytał gwałtownie obcy.

— Nie, nikt, sir.

— Czy jest miejsce jeszcze na jednego pasażera?

— Nawet na trzech. — odpowiedział urzędnik.

— Pojadę — rzekł mulat tonem zdecydowanym. — Pojadę i proszę zaraz o bilet. Napisz pan, jeśli łaska, Mr. Septimius Goring z Nowego Orleanu.

Urzędnik wypełnił blankiet i podał go nieznanemu, wskazując na puste miejsce u dołu. W chwili, gdy Mr. Goring schylił się, aby podpisać papier, spostrzegłem ze zgrozą, że nie ma palców u prawej ręki i że trzyma pióro między

dłonią i opuszką wielkiego palca. Widziałem tysiące trupów, asystowałem przy ciężkich operacjach chirurgicznych, lecz nie pamiętam widoku, któryby przypawił mnie o taki wstręt, jak ta wielka, brunatna, gąbczasta ręka, opatrzona tylko jednym członkiem. Używał jej jednak bardzo zręcznie, gdyż umiesciwszy swój podpis skinał głową urzędnikowi i wyszedł z kantoru właśnie w chwili, gdy Mr. White dał znać, że mnie oczekuje.

Udałem się wieczorem na „Marję Celestynę“ i obejrzałem sobie mą kajutę, która, jak na małą pojemność statku, była bardzo wygodna. Mr. Goring, którego widziałem rano, miał być moim sąsiadem. Naprzeciwko leżała kajuta kapłana i mała kajuta dla Mr. Johna Hartona, który wyjeżdżał w interesach firmy. Małe te pokójki umieszczone były po obu stronach korytarza, który prowadził z głównego pokładu do jadalni. Ta ostatnia była to wygodny pokój, wyłożony troskliwie drzewem dębowym i mahoniowym, bogatym brukselskim dywanem i wygodnymi krzesłami z oparciem. Byłem bardzo zadowolony z rozkładu a zarazem i kapłana Tibbsa, szorstkiego, starego marynarza, o grubym głosie i serdecznych manierach, który powitał mnie na statku z wylaniem i namówił do wychylecia w swej kajucie butelczyny wina. Mówił mi, że postanowił zabrać z sobą w podróż żonę i najmłodsze dziecko i że ma nadzieję w przeciągu trzech tygodni przybyć szczęśliwie do Lizbony. Rozmawialiśmy przyjaźnie i rozstaliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. Radził mi poczynić ostatnie przygotowania do podróży nazajutrz rano, miał bowiem zamiar wypłynąć z portu w południe, zaraz po załadunku statku. Wróciłem do domu, gdzie zastałem list od mej żony i wypawszy się dobrze, udałem się rano na statek. Z tą chwilą mogę oprzeć się na mem dzienniku podróży, który prowadziłem regularnie w ciągu monotonicznych i długich dni mej morskiej podróży. W niektórych miejscach ma on może pewne braki, mogę jednak polegać na jego dokładności w opisywaniu szczegółów, był bowiem prowadzony sumiennie z dnia na dzień.

16-go października.

O wpół do trzeciej podnieśliśmy kotwicę. Holownik przeprowadził statek do zatoki, gdzie nas opuścił. Ruszyliśmy w drogę z rozwiniętymi żaglami z szybkością około dziewięciu węzłów na godzinę. Stałem na tyle okrętu, patrząc na znikające stopniowo na horyzoncie niskie wybrzeża Ameryki, dopóki zmrok wieczoru nie zakrył ich moim oczom. Samotne czerwone światełko świeciło jeszcze smutno poza nami, rzucając długi snop promieni, jakby smugę krwi na wodę i jeszcze teraz, gdy piszę te słowa widnieje wciąż w oddali zredukowane jednakże do nieznaczonej plamki. Kapitan jest w złym humorze, w ostatniej bowiem chwili zrobiło mu zawód dwóch ludzi z załogi i był zmuszony zabrać ze sobą na okręt dwóch negrów, którzy przypadkowo ofiarowali mu swe usługi w porcie. Zabrakło ludzi dzielnych, którym można było ufać, którzy odbyli z nim szereg podróży toteż niestawienie się ich na czas raczej go zdumiło niż zagniewało. Jeśli jednak załoga z siedmiu ludzi złożona ma dobrze obsłużyć odpowiedni statek, strata dwóch doświadczonych żeglarzy jest rzeczą wcale poważną, jakkolwiek bowiem murzynów użyć można przy kole lub na pokładzie, pomoc ich w czasie burzy staje się bardzo problematyczną. Kucharz nasz jest także murzynem, a i Mr. Septimius Goring ma z sobą małego czarnego służącego, tak, że tworzymy razem psie towarzystwo. Buchalter John Harton zdaje mi się dobrym nabytkiem, jest to bowiem człowiek miły i towarzyski. Dziwna rzecz, jak rzadko bogactwo idzie w parze z zadowoleniem. Ma cały świat przed sobą i jedzie szukać szczęścia w dalekich stronach, robi jednak wrażenie osobnika tak widocznie szczęśliwego, jak nim tylko człowiek być może. Goring jest bogatym, jeśli się nie mylę, a i ja również; ja wiem jednak, że mam chore płuca, a Goring musi mieć jeszcze głębsze troski, sądząc po jego wyglądzie. Jakiż dziwny stanowią kontrast w porównaniu z tym beztroskliwym biednym urzędniczym.

17-go października.

Dziś rano zjawiała się na pokładzie po raz pierwszy Mrs. Tibbs — kobieta bez pretensji, energiczna — z małym dzieckiem, które dopiero

wyrośliło z pieluch. Młody Harton rzucił się na nie w tej chwili i zabrał je do swej kajuty, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa trzeba będzie szukać przyczyn przyszłych zaburzeń żołądkowych maleństwa. Doprawdy medycyna robi z nas cyników. Pogoda jest na razie bez zarzutu; od południowego zachodu dmie lekki świeży wietrzyk. Statek płynie tak spokojnie, że o posuwaniu się jego wnosić można jedynie z chrzęstu lin, wzdymania się żagli i smug białej piany na tyle okrętu. Spacerowałem całe rano po pokładzie z kapitanem i mam wrażenie, że orzeźwiający świeży powietrze wpłynęło już dodatnio na me płuca, przechadzka bowiem nie zmęczyła mnie w zupełności. Tibbs jest wyjątkowo inteligentnym człowiekiem; prowadziliśmy interesującą rozmowę na temat spostrzeżeń Maury'ego co do prądów morskich, która skończyła się zejściem na dół do jego kabiny celem przeglądu samego dzieła. Ku wielkiemu zdumieniu kapłana, znaleźliśmy tam Goringa, nie jest bowiem rzeczą u pasażerów zwyczajną zaglądać do tego przybytku bez specjalnego zaproszenia. Usprawiedliwiał swe wtargnięcie tam, tłumacząc się zupełną nieznaną z zwyczajów okrętowego życia. Pytał o instrumenty, które przeglądał z uznaniem otwartą skrzynkę. Bez wątpienia umiał obchodzić się z matematycznymi przyrządami, oszczędził bowiem na pierwszy rzut oka, który z nich jest najdokładniejszym i jaką jest ich cena w dolarach. Rozmawiał również z kapitanem o różnorodności kompasów, a kiedy wróciliśmy do rozmowy o prądach morskich, okazał całkowitą znajomość przedmiotu. Zdaje się szybko orientować i jest człowiekiem o wysokiej kulturze i subtelności. Głos jego harmonizuje z sposobem konwersacji, a oba są przeciwieństwem jego rysów i wyglądu. Obliczenie zrobione wczesnym rankiem wskazuje, że przebyliśmy 120 mil. Z wieczora zaczął dąć silniejszy wiatr i pierwszy pomocnik kapłana polecił zwinąć górne żagle w przewidywaniu burzliwej nocy. Widzę, że barometr spadł do 29 ciu stopni. Chcę wierzyć, że podróż nasza obejdzie się bez przygód, jestem bowiem marynarskim żeglarzem i zdrowiu memu jakaś mała burza więcejby zaszkodziła, niż pomogła, jakkolwiek mam pełne zaufanie do zdolności kapłana i wytrzymałości okrętu. Po kolacji grałem w karty z Mrs. Tibbs, a Harton urządził nam mały koncert na skrzypcach.

18 października.

Smutne przeczucia ostatniej nocy nie spełniły się; wiatr przestał dąć znowu. Płyniemy z falą, którą marszczy tu i ówdzie lekki wietrzyk, nie zdolny nawet wydać żagli. Jest chłodniej niż wczoraj; musiałem ubrać jeden z grubych, wełnianych kaftanów, które mi żona uszyła. Harton zaglądał rano do mej kajuty, gdzie wypaliliśmy razem cygaro. Opowiadał, że spotkał się z Goringem w Clevelandzie, w Ohio 1869 r. Był on, jak się okazuje i wówczas zagadką, tulając się bez jakiegokolwiek widocznego zajęcia i okrywając tajemniczością własne swe sprawy. Człowiek ten interesuje mnie jako studium psychologiczne. Przy śniadaniu, dziś rano, doznałem nagle tego przykrego uczucia, które ogarnia nas; kiedy jesteśmy przedmiotem bacznej obserwacji, podniosłem oczy i spotkałem się z jego wzrokiem, wlepionym we mnie uporczywie, prawie że nieprzyjaźnie, chociaż wyraz jego oczu natychmiast złagodniał, kiedy uczynił jakąś banalną uwagę na temat pogody. Dziwna rzecz, że i Harton wczoraj na pokładzie zrobił podobne spostrzeżenie. Zauważyłem, że Goring rozmawia często z czarnymi marynarzami, podczas swych przechadzek po statku — rys charakteru, który uderzył mnie sympatycznie, jest to bowiem rzecz ogólnie znana, że mieszkańcy zapierają się swego czarnego pochodzenia i odnoszą się do swych współbraci z większą bezwzględnością, niż człowiek biały. Jego mały służący jest do pana bardzo, jak się zdaje, przywiązany, co świadczy o dobrym obchodzeniu się z nim. Bądź co bądź jednak człowiek ten jest ciekawym zlepkim najróżnorodniejszych właściwości i musiałbym się grubo mylić, gdyby nie dostarczył mi w ciągu podróży obfitego materiału do obserwacji.

Kapitan narzeka na swe przyrządy miernicze, które nie działają zgodnie. Mówi, że zdarza się to po raz pierwszy. Z powodu mgły nie mogliśmy wczesnym rankiem dokonać zwyczajnych obliczeń.

(Ciąg dalszy nastąpi).